Numer zawiera 8 stron
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

BILETY ULGOWE DO WSZYSTKICH TEATRÓW
wydaje każdemu biuro „MUZYKI i SZTUKI" Marszałkowska 118, tel. 341-40

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

NAJWESELSZYM LOKALEM W WARSZAWIE
O NAJBARDZIEJ UROZMAICONYM PROGRAMIE
JEST DANCING
„ARIZONA"
Freda MELODYSTY
PLAC TEATRALNY

X muza
tygodnik ilustrowany

WIELKA REWIA
KAROWA 18
„PODRÓŻ POŚLUBNA"
MANKIEWICZÓWNA
SOKOŁOWSKA
BODO—ZNICZ
POCZ. O GODZ. 8 WIECZ.
W NIEDZIELĘ O 4 PO POŁ.
PO CENACH ZNIŻONYCH

ROK I **WARSZAWA, DNIA 23 LISTOPADA 1937 R.** **Nr. 22**

FILM • TEATR • MUZYKA • TANIEC • RADIO • MALARSTWO • FOTOGRAFIA • SPORT • TURYSTYKA • MODA • KOSMETYKA • ROZRYWKI

WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI

HISTORIA DWÓCH ROZMÓW

Na temat dziwnego ustosunkowania się Związku Właścicieli Kinoteatrów w Warszawie do przedstawicieli prasy filmowej pisano już nie jednokrotnie na łamach czasopism branżowych. W czerwcu r. b. w artykule „...Ślepy tor!", odsłoniliśmy i przed publicznością, wstydliwie dotychczas ukrywane przed szerszym ogółem, kulisy współpracy organizacji właścicieli kin z recenzentem i publicystą filmowym. W ciągu kilku następnych miesięcy czekaliśmy cierpliwie... Związek Właściciели Kinoteatrów zastosował jednak swoisty system — nie mogąc zbić stawianych mu zarzutów, a nie chcąc widocznie również wstąpić na właściwą drogę — przycichł poprostu, tak jak... zając pod miedzą.

Władze Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, pragnąc ułatwić starszemu przeciwnikowi wyjście z sytuacji, w którą niebacznie zabrnął, wysunęły w międzyczasie jeszcze raz projekt wzajemnego porozumienia. Nadaremnie — upór okazał się silniejszym ponad rozsądek!

W takim stanie rzeczy sprawa przeszła w ręce prasy. I oto piękna legenda, przy pomocy której Zwiazek Właścicieli Kinoteatrów osłaniał w ciągu paru lat, swą politykę — rozwiała się!... Okazało się, że wiara w oświadczenia tej — skąd inąd bardzo poważnej — organizacji, w tym wypadku — była błędem. Dowiodły tego dwa wywiady.

Dyrektor Związku Właścicieli Kinoteatrów, p. Emil Neuman nie był mile zaskoczony poruszonym w czasie rozmowy tematem...

— Jest dla mnie niezrozumiałe dlaczego prasa występuje przeciwko nam — oświadczył z pewnym jakby żalem, nawiązując do ukazania się dnia poprzedniego, w jednym z pism codziennych, artykułu red. Eugeniusza Szermentowskiego. Przecież my jak najchętniej powitalibyśmy w naszych kinach wszystkich dziennikarzy filmowych i ułatwilibyśmy im ich pracę zawodową... Jesteśmy jednak bezsilni. Ulegamy presji magistratu. W swoim czasie przedłożyliśmy władzom miejskim, na życzenie Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, przesłaną nam listę 50-ciu zrzeszonych recenzentów filmowych, prosząc o wydanie dla nich „passe-partout", umożliwiających spełnianie na terenie kin obowiązków zawodowych. Magistrat nie uwzględnił jednak naszej prośby. Kierownik sekcji podatków i opłat **sam wybrał sobie** z przedstawionej listy 19-tu dziennikarzy, którym też przyznano prawo do posiadania „passe-partout". Czym kierowano się w wyborze, tego czy owego dziennikarza, nie wiem— może poprostu ich znano. Pomimo tego nie tracimy nadziei — zaznaczył dyr. Neuman, kończąc swoje wywody — że uda nam się od nowego roku sprawę z władzami miejskimi uregulować.

A więc jeszcze jedna obietnica... A więc dalsza gra na zwłokę...

Udałem się do Zarządu Miejskiego, do kompetentnego w tych sprawach wyższego urzędnika, p. Eugeniusza Sautera — kierownika sekcji podatków i opłat. I cóż się okazało!...

W okresie zabiegów Związku Właścicieli Kinoteatrów o obniżenie stopy podatkowej, Zarząd Miejski przychylając sie do przedstawionej mu prośby, ograniczył jednocześnie ilość wszelkiego rodzaju „passe-partout" (jednorazowych i wielokrotnych), **wydawanych masowo** przez właścicieli kin. Decyzja władz miejskich powzięta wobec stwierdzenia że w ciągu **jednego tylko roku** zostało wpuszczonych bezpłatnie do kin warszawskich **przeszło 2 miliony osób,** nie tylko nie miała na celu utrudnianie wstępu do kin kilkudziesięciu recenzentom, ale wręcz przeciwnie — pragnąc uniezależnić dzienikarza filmowego od szeregu przykrości związanych z uzyskiwaniem bezpłatnego biletu, przewidziała wydanie specjalnych „passe-partout". W tym celu rozpatrzono przedłożoną przez Zwiazek Właścicieli Kinoteatrów listę dziennikarzy filmowych, znajdując zaś na niej paru współpracowników czasopism nie zajmujących się zagadnieniami filmowymi lub wydawanych poza Warszawą, zwrócono się do Związku Właścicieli Kinoteatrów o zaznaczenie nazwisk tych dziennikarzy, którzy powinni „passe-partout" otrzymać. Na 50-ciu recenzentów i publicystów filmowych zakwalifikował Związek Kinoteatrów tylko — 19-tu. Dlaczego?... Niewiadomo. Zarząd Miejski **nie ograniczył** bowiem ilości przewidywanych do wydania „passe-partout"; wystawił by je chętnie wszystkim osobom przedstawicielnym, gdyby Związek Właścicieli Kinoteatrów, jako reprezentant prawny właścicieli kin, tego zażądał.

Na dowód niesłuszności zarzutów pod adresem Zarządu Miejskiego ze strony p. dyrektora Związku Właścicieli Kinoteatrów, naczelnik Sauter złożył oświadczenie, że z początkiem 1938 roku wszyscy członkowie Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, pracujący w danym okresie w dziennikach i czasopismach stołecznych, otrzymają bez trudności roczne „passe-partout", trzeba tylko aby Zwiazek Właścicieli Kinoteatrów **o to wystąpił.**

LEOPOLD BRODZIŃSKI

MARS i MUZY

(Z cyklu „Ćwierćwiecze pierwszej sceny polskiej")

Wybuch wojny światowej zastał pierwszą scenę polską w niefrasobliwej drzemce letniej. Grano jakąś błahą komedyjkę francuską w beznadziejnie kanikularnej obsadzie.

W przepełnionej uciekinierami i wojskiem Warszawie nikt właściwe nie zdawał sobie sprawy z grozy wojny. Jakaś podświadoma radość przepełniała wszystkie prawie serca. Po ogłoszeniu manifestu Mkołaja Mikołajewicza cenzura zaczęła pozwalać na pewne rzeczy, dotąd zabraniane. W szyfmanowskim Teatrze Polskim grano już piękną sztukę Leroux „Alzacja", w której wszystkie apostrofy anty-niemieckie oklaskiwano podczas akcji tak samo gorąco, jak i świetną grę (w roli matki) znakomitej, modnej podówczas dramatystki Laury Duninówny.

Stare Rozmaitości nie miały co grać. Urlopy zdewastowały personel. Udało się jednak wznowić kontuszową komedię Bełcikowskiego „Grochowy wieniec". Stara sztuka o przewlekłej akcji i rzadkich błyskach humoru miała pomimo to urok polskości — w danym momencie tak wymowny i cenny.

Wznowienie wkrótce potym „Jeńca Napoleona" (Kozłowskiego) porwało za to publiczność. W jednym z poprzednich felietonów wspominałem już o tym, że premierowa publiczność zareagowała szmerem na kwestie wygłaszane przez Szymańskiego w roli Napoleona: „Prus' niema! Bom je rzucił pod swe stopy! Są wymazane z karty Europy!". Łatwo sobie wyobrazić, jak teraz szalała widownia, oklaskując tak aktualną apostrofę.

Jako „konkurencyjną" sztukę dla „Alzacji" wynalazł Hulewicz utwór francuski, który długo spoczywał w bibliotece teatralnej, ze względów kurtuazyjnych, wobec poselstwa niemieckiego — przeróbkę głośnej powieści Rene Bazin „Rodzina Oberle", dokonanej przez Haracourt'a p. t. „W niemieckich szponach". Utwór ten, o klasę wyższy od „Alzacji", zrobił olbrzymie wrażenie. Obsadę dano sztuce rewelacyjną. Młodego bohatera grał — Osterwa, jego narzeczoną — Szyllinżanka, siostrę — Lubicz-Sarnowska, matkę (genialnie!) — Marcello-Palińska. Gry Palińskiej nie zapomnę chyba nigdy; były to szczyty najwspanialszej sztuki aktorskiej. Pamiętać będę też zawsze starego mistrza Rapackiego w roli dziadka Oberle. Ten wyniosły, wspaniały starzec, któremu choroba prawie odjęła mowę, a który niegdyś płomiennie przemawiał w parlamencie w obronie Alzacji, stawał się jakby potężnym symbolem, gdy drżącą ręką wskazywał niemcowi drzwi swego domu, lub gdy przy dźwiękach dzwonów kościelnych z Strasburga, zdejmował kapelusz przed kościołem wiejskim. A Wilczyński, a Knake-Zawadzki, a Szymański!... Były to wzruszenia niezapomniane...

Gdy dramat przeniesiono z Ogrodu Saskiego do Rozmaitości dano wieczór jednoaktówek: Fredro („Nikt mnie nie zna"), jakaś bluetka Bruno Winawera (zdaje się, że „Upadek domu Birmeiere") i maupassantowska „Panna Fifi" — pełen nastroju i realizmu obraz z wojny franko-pruskiej. I znów trzy kreacje niezapomniane: Pichorka (Pichor — Śliwicka), jako Rachela, Osterwa w roli tytułowej i Bednarczyk w roli księdza.

Nie wszystkie jednak posunięcia „chwytały". Piękny np. jako pomysł i pełen wartości poetyckich „Kiejstut" Asnyka zawiódł na scenie. Wysiłki aktorskie (Szyllinżanka, Mirska, Kotarbiński, Osterwa) „paliły na panewce", a zamierzchłe momenty t. zw. „patriotyczne" nie mogły przekonać słuchacza.

Po paru miesiącach sukcesu utworów, przemawiających do uczuć narodowych, publiczność zapragnęła powrotu do repertuaru normalnego. Przyszedł też świetny triumf „Lata" Rittnera. Misterna poezja tej sztuki znalazła idealny wyraz w grze dwojga bohaterów — Osterwy i Marcello-Palińskiej. On, jako Torup, dał jedną z najświetniejszych swoich kreacji, łącząc patologię z delikatną melancholią i dając trochę klinicznemu studium — wytworną formę aktorską. Ona — w tej ostaniej w swej karierze roli amantki, osiągnęła tak wyrafinowaną wnikliwość psychologiczną, jakiej ani przedtym, ani potym już nie spotkałem. Swą arcy-trudną rolę zagrała w paru momentach wprost fenomenalnie. Słusznie też napisał w „Kurierze Porannym" Wacław Grubiński (mam wrażenie, że cytuję niemal dosłownie, chociaż z pamięci): „...Była to poezja histerii, czy też histeria poezji". Niestety, Marcello była już wtedy poważnie zaawansowana w latach, a od bardzo młodego Osterwy o dwadzieścia parę lat starsza. Mimo, że zachowała młodzieńczo smutkłą, sylwetkę, Warszawa wiedziała, że świetna aktorka przed laty już obchodziła oficjalny jubileusz 30-lecia pracy scenicznej. Gdy więc bohaterka sztuki (wskutek niedopatrzenia reżysera, który mógł z powodzeniem skreślić drażliwą kwestię) zawołała do Osterwy „Był żebyś Torupie o trzy lata starszy?" głośny śmiech rozległ się na widowni. Wybuch ten w złym guście nie zepsuł jednak wrażenia gry wspaniałej, porywającej.

Po „Lecie" wystawiono poetycką bajkę szwedzką „Księżniczka Kasia" w przekładzie Kasprowicza. Bohaterkę grała Szyllinżanka, tworząc jedną z najpiękniejszych swych kreacji. Był to pierwszy występ Junoszy-Stępowskiego na pierwszej scenie polskiej. Grał wówczas symboliczną rolę szatana.

Oazą beztroskiego śmiechu i „nieszkodliwego" sentymentu stała się premiera przemiłej „Różyczki" de Flers'a i Caillavet'a z Lubicz-Sarnowską w roli tytułowej. Ulubienica Warszawy znalazła tu pole do popisu najwłaściwszego — jak w „Bębnie", czy „Siostrze Helenie", gromadziła tłumy, zachwycone słodyczą, finezją i filuternym wdziękiem Stasi.

Niezależnie od sztuk wspomnianych, „Orlę" i „Królewski jedynak" znajdowały się wciąż w „żelaznym" repertuarze, nie tracąc swojej magnetycznej mocy. Warszawa przepełniona była przybyszami z miast i miasteczek okupowanych przez wojska niemieckie. Ten nowy kontyngent publiczności teatralnej, dla którego ograne już sztuki miały urok głośnych nowości, przepełniał wciąż sale dla

(dokończenie na str. 2-ej)



Katarzyna Hepburn i Ginger Rogers
w filmie „STAGE DOOR"

Fot. R. K. O.

(dokończenie ze str. 1-ej.)

popularnych kreacji Osterwy, Frenkla, Ludowej, Szyllinżanki i Kotarbińskiego.

Wbrew przypuszczeniom pesymistów, że niesłabnące napięcie wydarzeń wojennych zahamuje życie teatralne stolicy, każda premiera znajdowała gorący oddźwięk zainteresowania. Tak też było i z premierą sztuki Kistemaeckersa „Szpieg". Nie wiele osób zorientowało się, że tę samą sztukę p. t. „Żagiew" grano przed dwoma laty w Teatrze Małym z Zelwerowiczem i Rafaelą Bończą. Teraz utwór belgijskiego dramaturga stał się, dzięki aktualności tematu, sensacją, a wirtuozowska gra Pichorówny i Junoszy Stępowskiego, fascynowała widzów. Junosza właśnie „Szpiegiem" utrwalił swoją pozycję na pierwszej scenie polskiej, a Pichorówna przekonała wszystkich, że znajduje się w rozkwicie świetnego swego talentu. Ten wspaniały duet niejednokrotnie jeszcze potym zachwycał Warszawę („Eskapada", „Anioł opiekuńczy", „Walc").

Święta Bożego Narodzenia przyniosły stolicy premierę zupełnie inną od wszystkich dotychczasowych — „Betleem Polskie" Rydla. Nastroje tej premiery były tak odmienne od wszystkiego, co dotąd przeżywała teatralna Warszawa, że poświęcić im trzeba oddzielne wspomnienie.

THEODOR LEWITE

FILM ANGIELSKI i JEGO PUBLICZNOŚĆ

Londyn w listopadzie.

Cudzoziemiec, przyjeżdżający do Londynu czuje się z początku zmęczony. Fatalna pogoda i ogrom miasta przytłaczają nieco. Po powierzchownym obejrzeniu miejscowych osobliwości udaje się do kina. Sprawa ta nie jest jednak tak prostą, jakby się to mogło było uprzednio wydawać. Przed kinem stoi ogonek obliczony na dobrą „setkę", a wspaniale umundurowany portier (przypominający swym barwnym mundurem marszałka polnego), baczy na porządek.

Następuje teraz drobna ceremonia przy kasie, gdzie oszołomiony cudzoziemiec płaci horrendalną sumę, zupełnie nieproporcjonalną do cen „swojskich". Ceny w dobrym londyńskim kinie wahają się pomiędzy 3, 5 a 9 złotymi. Za tę cenę jednak widz może siedzieć przez trzy godziny w zadymionej sali. Pali się tu bowiem we wszystkich kinach; pali lord i ekspedient, lady i manikurzystka—palą wszyscy, i to bez przerwy. Powietrze na sali przypomina też nieco... parowozownię. Jedyną przerwę w paleniu wywołać może brak papierosów, ale i na to jest rada — w przejściach kręcą się sprzedawczynie. Ani wzruszenie filmu ani też zachwyt nad piękną towarzyszką nie jest w stanie powstrzymać raz puszczonego parowozu, droga jego trwa tak długo jak długo trwa film.

Niema sposobu na uniknięcie wdychania dymu tytoniowego w kinie angielskim. Bardzo nieliczni przeciwncy tytoniu ne chodzą poprostu do kin. O ile Niemcy są krajem piwa i parówek, Polska — krajem bigosu, Francja — krajem wina, Węgry — krajem gularzu, to Anglia jest stanowczo krainą papierosów a nawet co gorsze — fajek.

Filmy są w większości produkcji „Gaumont British", największej wytwórni filmowej w Europie. Wytwórnia ta po pożarze, który zniszczył ją prawie doszczętnie, potrafiła w czasie kilku miesięcy odrestaurować się zupełnie, w iście amerykańskim a nie angielskim tempie. Dziś wytwórnia ta grupuje najlepsze siły aktorskie Anglii a nawet wzorem Hollywood prowadzi politykę porywań artystów i artystek z kontynentu. Forma ta nosi w angielskim świecie filmowym nazwę „engagament by capture" — „kontraktowanie przez porwanie".

Jedna jest tylko zasadnicza różnica pomiędzy polityką Hollywood a „Gaumont British", polega ona na tym, że „G. B." angażuje tylko najwybitniejsze sławy dramatu i muzyki europejskiej, po macoszemu jakby traktując komedię. Filmy komediowe stanowią jednak większość filmów produkowanych w Anglii. Wytwórnie angielskie uważają, że ich własne siły komediowe są zupełnie, wystarczające i że posiadają swoisty „genre", którego brak odczułaby wyraźnie publiczność angielska, a co za tym idzie i kieszeń producenta.

Ale wróćmy do kina. Otóż najpierw pokazano nam kronikę tygodniową ciekawych wydarzeń w Anglii i na świecie. Naturalnie trzy czwarte zdjęć przedstawiło uroczystości z obecnością Króla lub któregoś z członków „Royal Family". Technika zdjęć naogół dobra, choć w pierwszej chwili wydawały się niewyraźne, ale jak mi wytłumaczono, jest to fotogeniczna angielska mgła (no i dym na widowni).

Dalej wyświetlano reklamy filmów, które dane kino „będzie miało zaszczyt wyświetlać". Trwało to jakieś „małe" pół godziny, a po tym wreszcie dopiero ukazał się pierwszy z dwóch filmów objętych programem. W każdym bowiem kinie muszą być grane co najmniej dwa filmy a czasem nawet trzy. W gazetach kina ogłaszają godzinę początku filmu ważniejszego, publiczność powinna więc zasadniczo zjawiać się mniej lub więcej punktualnie, tymczasem do kina przychodzi się o dowolnej porze, kiedy komu jest wygodnie.

Film pierwszy różni się od drugiego tylko lepszą obsadą, natomiast scenarjusz jest tak samo prosty w swej konstrukcii w obu filmach. Zadziwia szczególnie naiwność komizmu, polegającego na przewracaniu, demolowaniu i niszczeniu sprzętów. Ten rodzaj amerykańskiego komizmu przeżył się już dawno na całym świecie, w Anglii jednak cieszy się jeszcze ogólnym uznaniem.

Theodor Lewite

Korespondent londyński „X Muzy"

SMOSARSKA
BRODNIEWICZ
CONTI
FERTNER
SIELAŃSKI
ORWID
BRONISZÓWNA
i w. innych
w
WIELKIM
FILMIE POLSKIM
UŁAN KS. JÓZEFA
Reż. KONRAD TOM
ZDJĘCIA UKOŃCZONE
MONTAŻ ROZPOCZĘTY
PREMIERA WARSZAWSKA w kinie „CAPITOL"
(na Boże Narodzenie)
PRODUKCJA
Warszawskie T-wo Filmowe
EKSPLOATACJA
„SUPER-FILM" WARSZAWA, Nowogrodzka 40 Tel. 914-83
„BEZET-FILM" KRAKÓW, Kopernika 6 Tel. 108-06

„PARAMOUNT W POLSCE"
ROZMOWA Z RUDOLFEM JELLINKIEM

Wytwórnia Paramount po nowej reorganizacji, podczas której założyciel firmy, Adolph Zukor, został mianowany naczelnym kierownikiem produkcji, wysunęła się na czoło wytwórni amerykańskich. Korzystając z pobytu w Warszawie p. Rudolfa Jellinka district managera Paramountu na Polskę, kraje Bałtyckie i Czechosłowację zapytaliśmy go o szczegóły nowej produkcji.



Rudolf Jellinek, district manager Paramountu na Polskę, kraje Bałtyckie i Czechosłowację

Na wstępie p. Jellinek zwraca uwagę na film „Buccaneer" (Korsarze), w którym po raz pierwszy wystąpi na gruncie amerykańskim znakomita gwiazda europejska, Franciszka Gaal. Film ten, reżyserii Cecil B. de Mille'a oparto na historii słynnego korsarza Lafitte'a. Jest to największy film, jaki dotąd, zdaniem p. Jellinka, stworzono. Franciszka Gaal ulubienica Europy, występująca po raz pierwszy w dramacie, okazała się największym nabytkiem, jaki Ameryka dotąd „złowiła" na terenie europejskim. Partner Franciszki Gaal w tym filmie, Fredric March, stworzył swoją najlepszą kreację od czasu filmu „Dr. Jekyll i Mr. Hyde". Film został już ukończony i wkrótce zostanie sprowadzony do Polski. Drugim wielkim filmem Paramountu będzie „Ebb Tide", w którym występują: Oscar Homolka, Ray Milland i Frances Farmer. Film ten jest całkowice wyprodukowany w kolorach najnowszym systemem Technicolor, odtwarzającym w sposób zdumiewający naturalnie kolory. Ci wszyscy, którzy podziwiali w swoim czasie Sylvię Sidney w filmie kolorowym „W cieniu samotnej sosny", będą zachwyceni wielkim postępem, techniki kolorowej. Wielkim filmem ma być również „Wells Fargo", produkcji Franka Lloyda. W filmie tym główną rolę gra Joel Mc Crea. Niewątpliwie film ten będzie wielkim interesem dla wszystkich kin, grających filmy sensacyjne. Ci, którzy z powodzeniem grywają filmy muzyczne, zachwyceni będą filmem „Artists and models", reżyserii Raoula Walsha, i obfitującym w szereg zupełnie nowych pomysłów. Świetną ilustrację muzyczną stworzyli tu: Fredric Haollander i Victor Young.

Wytwórnia Paramount zarzuciła zupełnie produkcję filmów t. zw. klasy B. Na 22 filmy, preliminowano kwotę 22 miliony dolarów, sumę poprostu fantastyczną. W programie nowej produkcji, którą ujrzymy niebawem w Polsce, są tej miary filmy, co „Ósma żona Sinobrodego" z Claudette Colbert i Cary Cooperem: Miłość w dżungli" (kolorowy) z Dorothy Lamour i Ray Millandem: „Beau Geste" (kolorowy); „Booloo" film egzotyczny, i szereg innych.

Na zakończenie rozmowy p. Jellinek podkreślił, że zarówno sam, jak i wytwórnia dołoży starań by wszyscy właściciele kin z współpracy z Paramountem osiągnęli pełne zadowolenie i... kasy. Paramount pragnie pracować z właścicielami kin nie przez jeden sezon tylko, lecz chce pozyskać w nich stałych i wdzięcznych przyjaciół.

POLECAMY NASZE OSTATNIE NOWOŚCI:
PERFUMY i WODY KWIATOWE
nie ustępujące w mocy, trwałości i subtelności zapachów wyrobom zagranicznym.
„NINON", „BRIDGE", „FOR-YOU", „MASKA"
„REVANCHE", „FORESCA" i „ACAJOU"
oraz znaną ze swej dobroci „Staro-angielską Wodę Lawendową"
LABORATORIUM
W. KRUSZECKI
Warszawa, ul. Leszno 52 Telefon 11-44-40

Radość w domu...
RADIO NATAWIS
ZŁOTY MEDAL NA W.M.EL. 1936 r.
Sprzedaż detaliczna: Natawis Marszałkowska 141.
Antena. Marszałkowska 137. RES. Mazowiecka 1.

UPIÓR w OPERZE

Osoby:
SYRENA
DYR. TEATRU

Scena teatru w nocy. Obok sceny loża. W loży Syrena. Na scenie zjawia się jakaś postać i tłucze się po kątach.

SYRENA
Kto pan jesteś?!

POSTAĆ
Azakaki!

SYRENA
Ja się pytam ktoś pan taki?!

POSTAĆ
Jam dyrektor jest Opery...

SYRENA
Pan dziwaczne masz maniery,
Czegóż szukasz na tej scenie?!

POSTAĆ
Chciałem dać tu przedstawienie!

SYRENA
Ni orkierstry, ni suflera,
Ładna będzie mi Opera!

POSTAĆ
Ja tu jestem w pierwszym rzędzie,
Zaraz wszystko tutaj będzie

Klaśnięcie w dłonie. Przy dźwięku muzyki Saint Saesa ukazuje się balet, złożony ze szkieletów.

POSTAĆ
Spojrzyj, pani, na mój balet,
Ile gracji, ile zalet,
Niech też pani zauważy,
że nie żąda nawet gaży;

SYRENA
Mnie ten balet nie zachwyca
A rumieniec pali lica...

POSTAĆ
O, chwileczkę! Słynny maestro
Pokieruje wnet orkiestrą...

Słychać odgłosy nastawionego radia. Zgrzyty i charakterystyczne skrzeki.

Już nakręcam... łapię falę,
Proszę słuchać! Mam już Scalę!

Transmisja opery z teatru La Scala w Mediolanie.

POSTAĆ
Czy-ż nie geniusz, pani, ze mnie?!
Siedzę tutaj nie daremnie
Gdy trudności stos się piętrzy
Daj mi oklask najgorętszy!
Wszak ku sztuki polskiej chwale
Radzę sobie doskonale!
Czy zaprzeczysz temu może?!

SYRENA
Hola! Wstrzymaj się upiorze!
Chyba ze mnie tutaj kpisz —
A kysz, a kysz, a kysz!

Postać ucieka spiesznie. Syrena znika.

Kurtyna.

G.

MISCHEL S. GREEN

MŁODA GARBO

Hollywood, w listopadzie.

W Hollywood sensacja!...

Miejsce Grety Garbo w sercach jej dotychczasowych wielbicieli zajęła szczupła blondyneczka urodzona w Ameryce.

Jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne, jest jednak faktem.

Rywalką Grety Garbo jest Anna Sauthern krańcowo różniąca się pod wieloma względami od znakomitej Szwedki. O popularności Anny Sauthern w Szwecji świadczy ilość listów otrzymywanych z tamtąd przez wytwórnię.

Jej wystąpić w komedii muzycznej. Przyszło oczekiwane szczęście. W recenzjach wyróżniono artystkę.

Kiedy więc wróciła do Hollywood wytwórnia R. K. O. podpisała z nią długotrwały kontrakt.

W przeciwstawieństwie do „tajemniczej Szwedki" jak przezwano w Ameryce Gretę Garbo, grającej zawsze w silnych dramatach, Anna Sauthern, jako pole do swej kariery artystycznej obrała komedię. Jest uosobieniem ruchu, młodości i życia, posiada prześliczną figurkę, wspaniałe oczy i dużo kobiecej słodyczy.



Anna SAUTHERN

Matka Anny Sauthern urodziła się w Danji, skąd wyemigrowała do Ameryki, gdzie w stanie Dakota przyszła na świat jej córeczka. Mała Anna całe dzieciństwo spędziła wśród wychodźców — współziomków matki i doskonale przyswoiła sobie ich akcent i styl. Temu też zawdzięcza swe niezwykłe powodzenie w filmie w którym gra rolę młodej szwedzkiej dziewczyny.

Tym niemniej kariera Anny Sauthern nie była łatwą. Pierwsze lata pobytu w Hollywood zalicza do najcięższych w swym życiu. Dyrektorzy amerykańscy mało zwracają uwagi na ładne dziewczęta — nie stanowi to dla nich atrakcji. To też Sauthern poprostu nie spostrzegano.

Zawiedziona wyjechała do Nowego Jorku, gdzie też zwróciła na siebie uwagę Florenca Ziegfielda — który pozwolił

Jest niesłychanie ujmująca, ktokolwiek zawarł z nią znajomość staje się natychmiast jej wielbicielem.

Gdy usłyszała jak porównywałem ją do Grety Garbo oburzyła się na mnie.

„Ależ to profanacja, porównywać kogokolwiek do Grety Garbo. To aktorka wielka, nie mająca sobie równych".

Nie mniej jednak Szwedzi nie nazywają Anny Sauthern inaczej jak „młoda Garbo".

Mischel S. Green

Korespondent Hollywoodzki „X Muzy".

Z SAL KONCERTOWYCH

Na IV koncercie piątkowym w Filharmonii Warszawskiej popisywała się słynna duńska pianistka France Ellegaard i dyrygent o ugruntowanej renomie — Jascha Horenstein. Patrząc na ciekawie dobrany program, zawierający dzieła o tak różnorodnym stylu i charakterze szykowaliśmy się na nielada ucztę.

Już jednak wykonanie pierwszego utworu — uwertury do „Snu nocy letnie" — Mendelssohna zawiodło nasze oczekiwanie. J. Horenstein dyryguje doskonale, gdy ma pod swoją pałeczką dobry aparat; tu jednak przecenił siły i możliwości techniczne naszej orkiestry, skutkiem tego wszelkie nowości, które starał się wprowadzić, wypadły nieudolnie. Zwłaszcza raziły zbytnie kontrasty dynamiczne: raptowne pianissima po fortissimo brzmiały jak brzęczenie pszczół, tym bardziej, że tempo było zbyt szybkie dla naszych skrzypków.
Scherzowatość i chachlikowatość Mendelssohna, tak doskonale uwypuklająca się w jego kompozycji, nie były tu przejrzyste i jasne.

IV symfonia Brahmsa jest dziełem bardzo filozoficznym i wymagającym stale natężonej uwagi. Brak tu jaśniejszych, wdzięczniejszych momentów, podczas których możnaby wytchnąć, a w interpretacji J. Horensteina, który starał się wykazać tu indywidualność, zakrawającą jednak na zmanierowanie — symfonia ta jeszcze bardziej nas wyczerpała, tym bardziej, że umieszczona była w programie na ostatnim miejscu. Czy nie lepiej było dać na zakończenie tak wdzięcznego i wytwornego „Valse" Ravela, który swą żywiołowością zachwycił słuchaczy?..

Solistka koncertu France Elegaard chciała pokazać w koncercie D-dur Mozarta zrozumienie stylu, a w koncercie Es-dur Liszta — technikę. Za dużo jednak widać było troski o to, w wyniku czego Mozart był do przesady filigranowy, koronkowy i wysubtelniony; wirtuozostwo w koncercie Liszta było natomiast nietylko przekonywujące, ale i porywające.

Niewątpliwie France Ellegaard przedstawia talent dużej miary, zwłaszcza imponuje zupełnym opanowaniem techniki fortepianowej, dzięki czemu artystka może z większą łatwością i swobodą wnikać w treść i w ducha kompozycji.

*

Solistką V koncertu symfonicznego w Filharmonii była Monuque de la Bruchollerie. Młoda ta pianistka dała się poznać u nas podczas ostatniego konkursu chopinowskiego, na którym została zaszczytnie wyróżniona. Jej interpretacja koncertu A-dur Mozarta stanowi żywy kontrast ze zrozumieniem Mozarta przez France Ellegaard. O ile ta ostatnia zbytnio pieściła się delikatnością i filigranowością wielkiego kompozytora, o tyle de la Bruchollerie potraktowała go raczej brutalnie. Do subtelności Mozarta wniosła dużo temperamentu, a obok wyrafinowanej koronki dawała chwilami gruby szew, który jednak nie raził; dodawało to tylko posmaku indywidualizmu i świeżości.

W „Wariacjach symfonicznych" Francka miała de la Brucholerie doskonałe pole do popisania się swoją techniką, o naprawdę solidnej podstawie. Zresztą i tu pokazała swą duszę chwilami sztywną i wyniosłą, ale niepozbawioną ognia i temperamentu. Zaznaczyć należy, że młoda pianistka od czasu konkursu chopinowskiego wykazała duże postępy, co pozwala spodziewać się, że przy dalszej pracy wyrośnie z niej dojrzała i wytrawna artystka.

SZEWC TEATRALNY
ANTONI WYPYSZYŃSKI
WARSZAWA
ALBERTA 5
(dawn. Niecała)

Artystką dyrygował bardzo zręcznie Lovro Matacic. Wykonanie „Concerto grosso" — Vivaldi'ego było poprawne, choć trochę za nerwowe.

Nowością w programie był świeży utwór naszego wybitnego kompozytora Witolda Maliszewskiego — „Bajka o królewnie Basi" na sopran z towarzyszeniem orkiestry. Partię solową śpiewała Zwidrynówna — bardzo wdzięcznie i z dużą dozą subtelnego wyczucia. Utwór ten o formie tematu z wariacjami odznacza się nastrojowością, ale efekty wariacyjne są zbyt jednostajne i nie wyzyskują tematu.

Na zakończenie programu odegrano IV symfonię Brucknera zwaną „romantyczną" lub „leśną" ze względu na swój stosunkowo pogodny i uczuciowy charakter. Ta nawskroś niemiecka symfonia pisana pod wybitnym wpływem Wagnera brzmiała pod batutą doskonałego znawcy Brucknera — Matacica, monumentalnie i z właściwym sobie patosem.

Q

✱

Pięknie postąpiło Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki inaugurując swój sezon Akademią ku czci ś. p. Szymanowskiego. Twórczość zmarłego mistrza omówił na wstępie red. Mateusz Gliński, zaznaczając, że już pierwsze utwory Szymanowskiego wyrastały ponad ogólny poziom ówczesnej twórczości muzycznej — odznaczając się świeżością, nie szablonowym ujęciem tematu oraz nowymi środkami ekspresji. Aczkolwiek Szymanowski ulegał na początku wpływom Strausa, a następnie muzyki francuskiej — Debussy, Ravel — to jednak potrafił ukazywać wszelkie zapożyczone tematy i motywy w sposób wybitnie indywidualny. Ostatnim etapem rozwoju twórczości Szymanowskiego było zbliżenie do folkloru ludowego; odświeżyło ono całkowicie inwencję i wniosło nowe efekty harmonistyki do jego twórczości. Muzyka Szymanowskiego, żarliwa, o zupełnie odrębnym podejściu psychicznym wyrwała polską twórczość z tradycji chodzenia w rydwanie wielkich mistrzów i zapoczątkowała nową, młodą generację.

W części muzycznej akademii usłyszeliśmy na początku sonatę na skrzypce i fortepian D-moll w poprawnym wykonaniu p. Ossendowskiej i p. Zalewskiej; następnie zaś odznaczająca się bardzo wdzięczną aparycją p. Baranowicz odśpiewała kilka pieśni. Głos p. Baranowicz, miły, ciepły, ale niewielki — oraz sposób interpretacji nadają się raczej do pieśni Szuberta, Szumana i Chopina. Kilka pieśni, m. in. „Zulejkę" — odśpiewał również poza tym p. Bułat-Mironowicz.

Jasnym punktem programu był występ pianisty p. Jana Ekiera. Doskonała technika, subtelne ujęcie i zrozumienie odegranych utworów: Etiudy i 4-ch mazurków — zyskały mu serdeczny poklask publiczności. Byłoby pożądane, aby następny wieczór, poświęcony twórczości Szymanowskiego — miał nieco szersze ramy.

I. G.

CAPELLO SUPERY najwyższej klasy
Nowe modele na rok 1938. Demonstracja i sprzedaż w firmie Reprezentacja „SUNBEAM" FREDRY 4 tel. 6-18-88

STAGE DOOR
Katarzyna HEPBURN
Ginger ROGERS
Adolf MENJOU
Najciekawszy film sezonu już w opracowaniu!



„CNOTLIWA ZUZANNA" w


Tadeusz FALISZEWSKI


Jula KRASZEWSKA


Józef REDO


Zofia ORDYŃSKA


Zbyszek RAKOWIECKI

oto wszyscy ci, dzięki talentowi i pracy których teatr „8.15" jest codziennie przepełniony na znakomi

REWELACJA — REWELACJA

FILM KTÓRY ZDOBYŁ „PUCHAR NARODÓW" NA MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE FILMOWEJ W WENECJI (BIENNALE)

LA GRANDE ILLUSION

(TYTUŁ POLSKI NIE USTALONY)

REŻYSERIA Jean RENOIR

OBSADA Eric v. STROHEIM * Dita PARLO * Jean GABIN

EKSPLOATACJA „PATRIA-FILM" WARSZAWA Moniuszki 4, tel. 263-02

NA MAŁOPOLSKĘ I ŚLĄSK „SILESIA-FILM" KATOWICE Rynek 12, tel. 317-41

TEATR

TEATR NARODOWY

Wieczór Fredry („Pan Benet" i „Dożywocie").

Teatr Narodowy, zgodnie ze swymi zadaniami, sięgnął znów do Fredry. „Pan Benet" i „Dożywocie", wystawione poprawnie, nie ściągają jednak publiczności. A szkoda, bo to i Solskiego arcyrolą jest lichwiarz Łatka i Jerzego Leszczyńskiego rola Birbanckiego ma swoją wieloletnią tradycję, a także Stanisławski bardzo przyjemnie i równo gra pana Beneta.

Najwidoczniej, dotychczasowy, konwencjonalny styl grania Fredry nie wystarcza; publiczność oczekuje nowego „ujęcia" i nowego „podejścia" inscenizacyjno-reżyserskiego.

A może... może ma i rację Słonimski podejrzewając, że „może i Warszawa chciałaby zobaczyć w rolach fredrowskich swych nowych ulubieńców". Możeby jednak spróbować Dymszy jako Birbanckiego, Woszczerowiczowi dać Łatkę, a Beneta — Zniczowi?!

Może... możeby wtedy publiczność chodziła na... Fredrę.

TEATR POLSKI

„Gałązka rozmarynu".

Sztuka potrzebna, widowisko doskonale popularyzujące ideę legionów w akcji żywej, barwnej, zmiennej w nastrojach i kontrastach, interesującej.

Bohaterem jest całe pokolenie, które wyruszyło z Oleandrów na bój o Polskę w roku 1914 dnia 6 sierpnia... Więc też niema bohatera głównego, a wszyscy aktorzy świetnie wcielają owego zbiorowego herosa: Pokolenie i jego porywy.

W każdym razie osobno utrwalić trzeba nazwiska Woskowskiego jako kapelana wojskowego, Woszczerowicza i Karczmarskiego.

Jako w widowisku wojennem zastanawia trafność roboty reżyserskiej i inscenizacyjnej p. Węgierki ten typowy miejski pacyfista, który „nie wąchał prochu", odczuł doskonale atmosferę frontu i nie wprowadził w nią ani jednego zgrzytu i fałszu.

TEATR LETNI

„Ormianin z Beyrutu".

Z tym „Ormianinem" prawdziwe „sto pociech". Świetny majster sceniczny Grzymała-Siedlecki zakpił sobie z krytyki i publiczności: ni stąd, ni zowąd, gdy wszyscy czekają na satyryczne malowidło naszej „rzeczywistej rzeczywistości" na scenie — Grzymała uciekł aż do Syrji po materiał obserwacyjny.

Urodziła się z tej wycieczki komedja bardzo zabawna, choć nieco prymitywna w efektach. Publiczność żydowska niesłusznie upatruje się tu satyry na siebie samą, wmawiając w autora, że pod szyldem ormian miał na myśli żydów....

A tymczasem publiczność chodzi tłumnie, oklaskując zwłaszcza komiczne perypetje Fertnera, nieco kabaretowy demonizm Piaskowskiej, jędrne bicepsy Hnydzińskiego, miły wdzięk Oli Leszczyńskiej i staranność wszystkich innych.

TEATR MAŁY

„Walący się dom".

P. Morozowicz-Szczepkowska po świetnej „Sprawie Moniki", którą w Reducie Osterwy wyreżyserowano znakomicie i grano pareset razy, nie ma jakoś szczęścia w swej dalszej działalności komedjopisarskiej. „Typ A" grany u Jaracza nie miał powodzenia, a „Walący się dom" przyjęty został negatywnie przez krytykę, zaś publiczność zdecydowanie nie chodzi na jego przedstawienia.

Istotnie, atmosfera tego „Walącego się domu", jest koszmarnie antypatyczna, ponura i odstraszająca. Jakieś dalekie echa „Wiśniowego Sadu", jakieś—znacznie już bliższe reminiscencje i zapożyczenia z „Głupiego Jakóba" Rittnera, — a w sumie widowisko nudne i przykre.

Ta satyra na upadające ziemiaństwo nie zawiera ani jednego nowego elementu obserwacyjnego, ani jednego świeżego spojrzenia. Konwencjonalnie banalna treść podana jest w akcji scenicznej dość żywej, choć jej przebieg nie kryje żadnych niespodzianek. Kompozycja budowy poprawna.

Samborski znalazł prawdziwe pole popisu, a z pań — Małyniczówna i Borowska miały dużo ludzkiej prostoty cierpienia, p. Niczewska przerysowała swoją wampirzycę w berecie siostry miłosierdzia. P. Ziembiński nadużywał nadmiaru gestów, które bynajmniej nie świadczyły o swobodzie bycia, lecz o natarczywej nonszalancji.

TEATR „MAŁE QUI PRO QUO"

„Na pięterku".

Na pięterku nad Ziemiańską przytulił dobry p. Albrecht małe „Qui pro quo", które usiłują odrodzić zasłużeni twórcy „Kochanej, starej budy" pp. Boczkowski i Majde.

Istotnie ogarnia nas sentyment w tej małej salce: toż to nasi najwięksi ulubieńcy i Zimińska, i Dymsza i Olsza— dają ekstrakt swoich talentów i humorów w tekstach jędrnych, skondensowanych, dowcipnych, a pomagają im skutecznie: Olga Kamieńska, Kamińska, Bogucki i przemiły zapowiadacz Orłow, mistrz mimiki. Niestety, publiczności stanowczo za mało a w takich rarytasach małego literackiego kabaretu trzeba smakować i należy się rozsmakować.

Wierzymy, że publiczność przyjdzie — zabawa świetna, a nastrój przytulny, towarzyski, prywatny, domowy, — „poufny".

J. Z

POMADKA DO UST
Michel
KRÓLUJE WSZĘDZIE

TEATR MALICKIEJ

„Maria Stuart"

„Maria Stuart" Słowackiego „leżała odłogiem" od lat przedwojennych — okresu kiedy wchodziła — do „żelaznego" repertuaru pierwszej sceny polskiej. Dziś dopiero okazało się, że utwór Słowackiego najniesłuszniej dotychczas unikany przez kierowników wszystkich teatrów polskich, bardziej odpowiada wymogom współczesnego widza, niż bliźniacza tragedia Szyllera. Psychologia tragedii Słowackiego jest bliższa umysłowości dzisiejszych słuchaczy. Skameralizowanie natomiast utworu poetyckiego odpowiada widać duchowi czasu, co nie po raz pierwszy daje się zauważyć w stosunku do dzieł t. zw. wielkiego repertuaru.

Maria Stuart — Malickiej, w zestawieniu z szyllerowską, jest bardziej skoncentrowana psychicznie. Tętni dynamiką wewnętrzną. Nie ma tu ani śladu efekciarstwa. Talent Malickiej dojrzał do tej roli — emanuje tu już nie wdzięk osobisty, ale poważna klasa szlachetnego aktorstwa w stylu raczej Duse niż Sary Bernhardt.

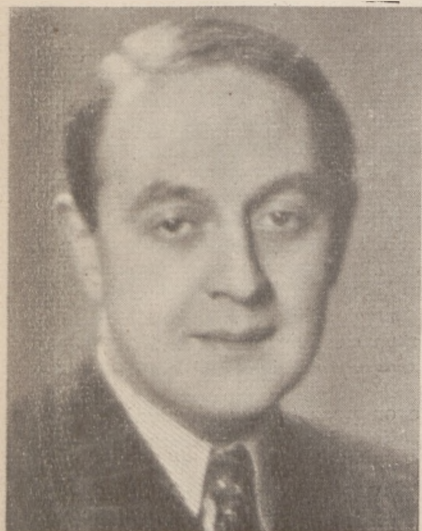
Inscenizacja Zbigniewa Sawana, kameralizując dramat Słowackiego, poszła po linii raczej psychologizowania, niż romantyzowania, utrzymując uwagę publiczności w dużym napięciu. Reżyser, przy wydatnej pomocy malarza (Kurman) szczęśliwie rozwiązał zagadnienie formy, a zarazem inteligentnie podkreślił świadomość tego, że dekoracja nie może być dla aktorów czymś w rodzaju „czerezwyczajki".

Sawan dał roli Bottwela wiele poetyckiego wdzięku w ponurej zadumie. Skomplikowaną psychologicznie postać króla Henryka ujął nader nieszablonowo Benda, wywołując w niektórych momentach silne wrażenie. Trudną rolę Nicka zagrał dosyć starannie młody aktor Osto-Suski. Kunsztownie mówił swój wiersz Zawistowski (paź... trochę nazbyt dojrzały!). Ziembiński z roli Rizzia wyszedł ręką obronną. W epizodach, zharmonizowanych reżyserią w bardzo zgodny akord wystąpili: Modrzewski, Kwaskowski, Nowacki i Dobrowolski.

„Marię Stuart" przyjęto gorąco i słuchano jej z zapartym oddechem.

J. K.

TEATRZE „8.15" ŚNIADECKICH 5


Reż. Witold ZDZITOWIECKI


Mary GABRIELLI


Jerzy LIEDTKE


Nina CZERSKA


Władysław WALTER

nitej operetce „Cnotliwa Zuzanna", która — wobec wielkiego sukcesu nieprędko zejdzie z afisza!

Fot. „Foto-Forbert"

ZKODLIWA IGNORANCJA

Minęły już czasy, kiedy aparat radiowy służył jedynie do „łapania" stacji, byle dalszych, byle bardziej egzotycznych. Obecnie, kiedy odbiorniki mają wyskalowane stacje całego niemal świata, kiedy odbiór Tokio wymaga tylko „trudu" polegającego na przesunięciu gałki aparatu — emocje „łapania" minęły bezpowrotnie. Obecnie o wyborze stacji, na jaką nastawiamy aparat, decyduje nie jej odległość, a program, jaki ona nadaje. To też radiofonie całego świata starają się tak ułożyć swoje programy, aby zadowoliły różnorodne gusty swych słuchaczy. Z pod tej zasady wyłamuje się — stanowiąc niechlubny wyjątek — krótkofalowa stacja warszawska. Sądząc z jej programów, nasi rodacy w Ameryce, dla których te audycje są przeznaczone — to ludzie bez wykształcenia, bez wymagań artystycznych, ludzie poprostu — prymitywni. Karmi się ich codziennie i niezmiennie „muzyką" w rodzaju „Umarł Maciek, umarł" i „Płynie Wisła, płynie"... Cały zresztą nasz program krótkofalowy, to same takie, na taki sentymentalny efekt obliczone — szmiry.

Jeśli się zdarzy coś poważnego, to zaledwie część koncertu Chopina lub Wieniawskiego. Dlaczego część? Czyżby z obawy, że nasz zamorski rodak na dźwięk muzyki poważnej ucieknie od odbiornika?! Fałszywe rozumowanie!

Polacy za Oceanem — to ludzie kulturalni, zajmujący poważne stanowiska we wszystkich dziedzinach, to ludzie o wymaganiach artystycznych. Wiemy, że Polskie Radio posiada od nich szereg listów, pełnych wzruszenia, że słyszeli mowę polską i pieśni, znane im z czasów dzieciństwa — ale to jeszcze nie powód, żeby nudzić ich codziennie bezdusznością pseudo-muzyki. Są wszak za Oceanem i Polacy, którzy nie widzieli swej ojczyzny, a którzy kulturę jej mogą mierzyć właśnie układem programu radiowego, przez tę ojczyznę dla nich nadawanego. Ci młodzi mają ostre kryteria, a nam powinno zależeć, na zdobyciu serc właśnie tego pokolenia.

Czy nie można by poprostu nadawać audycyj złożonych z utworów wielkich mistrzów, w wykonaniu polskich artystów? Dlaczego musi być koniecznie kompozytor polski? Przecież jeśli pójdziemy po dotychczasowej linji — niedługo będziemy musieli sięgnąć do pieśni XVI wieku! Śmiech ogarnia każdego, kto zada sobie fatygę i porówna poziom naszej stacji z poziomem audycyj angielskich, czy francuskich krótkofalówek, które przecież także nadają dla swoich obywateli, rozsianych gdzieś po świecie.

Iluż radiosłuchaczy nastawiałoby swoje odbiorniki na falę polską — gdyby wiedzieli, że usłyszą cały koncert Chopina, całą Symfonię Szymanowskiego i jakąś tam symfonię nie Polaka, ale Beethovena. Jaką dumą wzbierałyby serca tych zaoceanicznych Polaków, gdyby mogli słuchać pereł światowego repertuaru muzycznego na fali płynącej z Polski, z jaką dumą zapraszaliby swoich przyjaciół amerykańskich na audycje, w której słyszeliby znane sobie poważne piękne dzieła muzyczne — pięknie wykonane przez polskiego artystę!

A przecież mamy sławnych wirtuozów (Paderewski, Landowska, Rubinsztein, Huberman, Bandrowska-Turska, Kiepura, Didur, mamy płyty nagrane przez nich, no i mamy także doskonałą orkiestrę....

Mamy także fundusze. Bo jeżeli mamy je, aby urządzić pawilon na Wystawie Paryskiej, jeśli mamy je na urządzenie tam koncertu Polskiego Radia — to napewno stać nas na to samo i na miejscu.

Jest rzeczą bezsporną, że nasz występ na Wystawie Paryskiej jest doskonałą propagandą (myślę tu jedynie o koncercie — Broń Boże o naszym pawilonie), ale do Paryża na koncert mogła dotrzeć tylko ograniczona ilość ludzi, podczas gdy radio dociera wszędzie, swoim programem wytwarzając albo szacunek dla stacji, która go nadaje, albo tylko — politowanie...

Jeśli cokolwiek u nas odbywa się gorzej niż u innych narodów, mamy na to zawsze gotową odpowiedź... że nasze młode państwo niema jeszcze doświadczenia, że byliśmy skrępowani niewolą — ale przecież jeśli chodzi o radiofonię, to start całego świata był jednoczesny. My nie narzekamy, że nasza krótkofalówka powstała dopiero wtedy, kiedy inne państwa zakładają stacje telewizyjne; nie narzekamy, bo jesteśmy biedni, bo mamy wydatki pilniejsze. Na przejaw jednak ignorancji w dziedzinie doboru programów radiowych, które swoim układem i wykonaniem mają wytwarzać i ugruntowywać wiarę w naszą kulturę — narzekać będziemy — bo mamy do tego prawo!

Jeżeli nie stać nas nawet na to, to niech któryś z laureatów konkursu letniego naśpiewa na płytę „umarł Maciek, umarł" i niech ta płyta razem z gawędą Pana Franciszka wypełnia naszą zamorską audycję. Będzie tanio — finansowo i mózgowo.

I. Glaudan

RADIO ŹLE DZIAŁA? TEL. 537-91
fachowe naprawy i przeróbki odbiorników wszelkich typów.
Najnowsze eliminatory na stację Warszawa II.
Radio-klinika „HENRY" Warszawa, Nowy-Świat 36
Ceny umiarkowane. Natychmiastowa obsługa.

O FILMACH TYGODNIA

„TRÓJKA HULTAJSKA"
Kino Pan

Powodzenie komedii muzycznych na scenie i ekranie nie daje spać i producentom polskim. Dzięki temu stary wodewil Nestroy'a — „Trójka hultajska", doczekał się przeróbki filmowej. Na taśmie dzieje trzech „łazików" zostały ujęte szerzej i nieco odmienniej. Uwspółcześnienie akcji należy jednak zapisać na minus obrazu; należało utrzymać całkowicie styl lat przedwojennych — przez wprowadzenie rekwizytów (np. samochodów) i częściowo strojów współczesnych, zniweczono atmosferę właściwą dla obrazu. Na tym tle tytułowi bohaterowie sztuki wywołują wręcz odmienne wrażenie, aniżeli ich pierwowzory w utworze scenicznym. Trafny dał natomiast reżyser zarys obyczajów, trafnie odsłonił wnętrze dusz, a środowisko, które stwarza, poznał dobrze i odmalował je z pewną nawet pasją. Wszystkie figury są na poziomie. A przede wszystkim — Stanisław Sielański, Stanisław Woliński i Józef Kondrat. Cała ta hałaśliwa trójka, nieciekawa może fizycznie, podkreśla z zapałem swój krzykliwy rozmach życiowy. Reszta (Józef Orwid, Antoni Szczerba-Ferski, Tamara Wiszniewska, Irena Skwierczyńska, Władysław Grabowski, Czesław Skonieczny) — to również jedyna w swoim rodzaju, nieporównana galeria.

„Trójka hultajska" nie należy do filmów, które olśniewają wystawą lub czarują melodiami, ale jest przyjemny i zabawny.

„MOJA PANNA MAMA"
Kino Rialto

Doskonała komedia, pełna tempa i pierwszorzędnych dowcipów, pomysłowa i opracowana w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko jest logiczne, umotywowane, choć wszystko jakby z nieprawdziwego zdarzenia. Bohaterka (Danielle Darrieux) jest rozkoszna — toalety i dekoracje przebogate — sytuacje groteskowe — muzyka porywająca — słowem tylko się śmiać i bawić. Typ Pierre Brasseur'a jako amanta jest prawdziwy życiowo; na ekranie widuje się nazbyt często lalkowatych lalusiów.

Ale i wszyscy inni odtwórcy ról, nawet epizodycznych, a epizodów jest tam cały szereg — nie ustępują tej młodej parze, którą kojarzy, budząc w ich sercach miłość — nienawiść.

„Moja panna mama" (reżyser Jean Boyer) jest idealnym wzorem i przykładem dla tych wszystkich, którzy pragną z niewymyślnego tematu wydobyć tak wiele wdzięku, tyle naturalności i bezpośredniości.

W. B.-Tom.

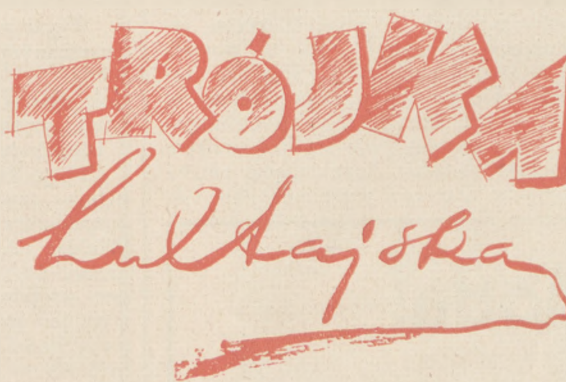
PRODUKCJA 1937/8 WYTWÓRNI „FEMIKA-FILM" WARSZAWA Marszałkowska 108 TELEFON 307-06

1. ROZPOCZĘTO!
KOBIETA
bez skazy
wg. GABRIELI ZAPOLSKIEJ
Scenopis: ANATOL STERN
Role główne:
BRODNIEWICZ ● ĆWIKLIŃSKA
WISZNIEWSKA ● ŚWIERCZEWSKA
JUNOSZA-STĘPOWSKI ● FERTNER
ŁOZIŃSKI ● WOLIŃSKI
WARSZAWSKA PREMIERA w kinie „CAPITOL"


MARIA MALICKA
KRÓLOWA
SCENY POLSKIEJ

2. W PRZYGOTOWANIU!
PRZEKLEŃSTWO WIEKÓW
dramat filmowy wg. powieści
MIECZYSŁAWY ŁUCZYŃSKIEJ

3. SENSCAJA HUMORU!



wg. NESTROY'A
Reżyseria: Henryk SZARO
WYŚWIETLA z SUKCESEM kino „PAN" w Warszawie
SIELAŃSKI
WOLIŃSKI
KONDRAT
WISZNIEWSKA
BENITA * ROLANDOWA
SKWIERCZYŃSKA
GRABOWSKI * ORWID
SZCZERBA-FERSKI
ŁUSZCZEWSKI



Emocjonująca scena z filmu „Un Carnet de bal"

Fot. „Greenfilm"

JAPOŃSKI FILM O POECIE

Tygodnik „Pion" podał bardzo ciekawy felieton pióra Jana Brzękowskiego o filmie japońskim. Przedrukowujemy go tu prawie in extenso.

400 filmów rocznie! Tyle wynosi produkcja filmowa Japonii, która zajmuje — jeśli chodzi o liczbę — drugie miejsce na świecie idąc zaraz po Stanach Zjednoczonych. Pomimo to film japoński jest w Europie zupełnie nieznany — nie potrafił on wyjść poza granicę swego kraju, nie umiał dokonać tej syntezy Europy z Azją, która dostatecznie pozbawiłaby go własnych cech, by nadać mu charakter filmu „egzotycznego". Był on, podobnie jak np. polska poezja romantyczna, zbyt odrębny, by przemówić do całego świata, był zanadto „narodowy".

A jednak filmy japońskie nie są pozbawione cech ogólnoludzkich, które pozwoliłyby im na zwrócenie się do całego świata, gdyż zawierają one szereg elementów przemawiających nie tylko do człowieka rasy żółtej, lecz także do Europejczyka. Przekonałem się o tym w czasie wyświetlania w Paryżu japońskiego filmu Takuboku, który miał wiele zupełnie rewelacyjnych momentów. Scenariusz filmu oparty jest na młodości znanego poety japońskiego z końca XIX w. i początku XX w. Hajimu Ishikawa, piszącego pod pseudonimem Takuboku. Już ten fakt rzuca znamienne światło na realistyczne zamiary twórcy filmu. Dzieło, które stworzył reżyser Kuko Kumahai, jest jednak dalekie od zdawkowego realizmu. Zawiera ono wiele poezji, która chwilami nadaje mu zupełnie nierzeczywisty charakter. Środki, jakimi posłużył się reżyser przy realizacji tego filmu, są niezwykle proste — pomimo to, a może właśnie dzięki temu, film robi potężne wrażenie. Jest on przeniknięty prawdziwą poezją widzianą w tak bezpośredniej projekcji, że nikt nie może przejść obok niej obojętnie.

Walka poety ze środowiskiem, stary jak świat konflikt jednostki z nie rozumiejącym jej tłumem, wypełnia całkowicie scenariusz filmu. Takuboku zmuszony jest opuścić stolicę, by przyjąć posadę nauczyciela w swej rodzinnej wiosce. Spotyka się tu z miłością swych uczniów i jawną wrogością „sfer oficjalnych": dyrektora szkoły i radnych wioski. W walce z tym światem starych przesądów i rutyny podtrzymuje go miłość miejscowej nauczycielki. Wrogowie Takuboku wykorzystują jednak przyjazd inspektora, by się pozbyć poety. Takuboku opuszcza wioskę z węzełkiem rzeczy i kijem podróżnym w ręku. Na wzgórzu dominującym nad drogą żegna go tylko nauczycielka z gromadą dzieci szkolnych, które śpiewają jeden z poematów Takuboku.

Film ten jest mieszaniną poezji i dziwnego realizmu. Osoby drugo- i trzecioplanowe opracowane są z drobiazgową wiernością, połączoną z charakterystyczną przesadą, np. inspektor szkolny, nieznośny służbista, którego głos przechodzi chwilami w bełkot przypominający szczekanie. Mowę swą zaczyna on jednak od zawikłanych rozróżnień filozoficznych, które mają realny charakter nie tylko dla niego, ale i dla większości obecnych, podobnie jak pełną wartość życiową ma poezja Takuboku dla dzieci szkolnych. W stylizacji głosu inspektora i niektórych scenach zbiorowych można odnaleźć dalekie echa teatru i filmu sowieckiego.

Daje on poza tym wyobrażenie o różnicy istniejącej między kulturą Wschodu i Zachodu. Świadczy on, iż w państwie wschodzącego słońca poezja jest czymś realnym, dostępnym i interesującym wszystkich, a nie luksusem kilkunastu wybranych, widzimy, iż może ona być istotną potrzebą i elementem równie realnym, jak ogień, powietrze czy woda. W filmie tym nie ma tayloryzacji wzruszeń, do czego przyzwyczaiło nas kino amerykańskie, nie ma kolorytu lokalnego i skomercjalizowanych uczuć. Są tylko dzieje człowieka, dla którego poezja była nieodpartą koniecznością.

OTO FILMY NA KTÓRE CZEKACIE...

BIURO KINEMATOGRAFICZNE

GREENFILM

Warszawa, Jasna 24, tel. 663-52

UN CARNET DE BAL

HARRY BAUR
MARIE BELL
PIERRE BLANCHAR
PIERRE R. WILIM

PREMIERA w WARSZAWIE

w KINIE PALLADIUM

na święta BOŻEGO NARODZENIA

FILM: KTÓRY ZA SWE NIE PRZECIĘTNE WALORY OTRZYMAŁ NAJWYŻSZE ODZNACZENIE w WENECJI

ZŁOTY PUCHAR MUSSOLLINIEGO

i stał się sensacją stolic świata

LA BATAILLE SILENCIEUSE

PIERRE FRESNAY
KATE DE NAGY

WIELKI FILM O HANDLU BRONIĄ

OTO KILKA GŁOSÓW PRASY:

L'EPOQUE
...realizm tego rodzaju, że wielu widzów nie może się powstrzymać by nie wydać krzyku grozy.

LE MATIN
film zasługuje na złoty medal, gdyby taki został ustanowiony.

MARIANNE
Film jest sukcesem i ci, którzy lubią smak strachu bez niebezpieczeństwa znajdą właściwy pokarm dla swego apetytu.

KSIĘŻNA TARAKANOWA

NAJDROŻSZY FILM PRODUKCJI EUROPEJSKIEJ, KTÓREGO KOSZT PRZEKROCZYŁ 10.000.000 FRANKÓW

✶

AKCJA ODGRYWA SIĘ NA DWORZE KATARZYNY WIELKIEJ!!!

✶

POLSKIE POSTACIE HISTORYCZNE!!!

✶

REALIZACJA TWÓRCY MAYERLINGA!!!

AKTOR i REKLAMA... HANDLOWA

Niesmaczny zwyczaj, panujący wśród artystów filmowych w Ameryce — sprzedawania firmom handlowym prawa używania nazwisk i fotografii do reklamy najrozmaitszych artykułów, zaczyna zakorzeniać się w Polsce. Dopóki o podobne zarobki dodatkowe i tak tanią popularność ubiegały się aktoreczki operetkowe, czy pseudo „gwiazdy" filmowe, sprawa nie budziła żadnego zainteresowania, gdy jednak na podobną drogę wkracza aktor o nazwisku znanym i cenionym — należy to wytknąć.

Jeden z największych doby obecnej aktorów polskich — Józef Węgrzyn, reklamujący ...aspirynę! Czy to poważne?! Gdyby chociaż p. Węgrzyn zastrzegł sobie pewien poziom reklamy w której bierze udział. Nic podobnego. Na bardzo prymitywnie wydrukowanym prospekcie widnieje duże zdjęcie aktora z osobiście napisaną sentencją: „Nie tylko dlatego używam Aspiryny Bayera, że jest wyrabiana w Polsce, ale też dlatego iż właśnie ta mi pomaga". O występie p. Węgrzyna w filmiku reklamowym, puszczanym obecnie na ekranach szeregu kin — lepiej się nie rozwodzić. Widok wielkiego aktora w tej „roli" budzi wielki niesmak.

Istnieje tu jednak i druga kwestia...

Czy p. Węgrzyn zastanowił się, że popełnia czyn niezgodny z poczuciem gospodarczego patriotyzmu polskiego. Właśnie on, tak popularny za niejednokrotny poryw ducha narodowego przez swe wielkie kreacje sceniczne. Wiadomym jest przecież ogólnie, że zainteresowana firma jest koncernem obcym, pracującym w Polsce na podstawie licencji, i dzięki swej potędze finansowej, przytłaczającym możności rozwojowe przemysłu polskiego w zakresie produkowanych przez siebie artykułów. I dlatego też przecież musiał p. Węgrzyn zaznaczyć w swojej dedykacji, że aspiryna przez niego „używana" jest wyrabiana w Polsce. Przemysł polski tego podkreślać nie potrzebuje — byłoby to wręcz śmieszne.

Opinia publiczna nie wątpi, że p. Węgrzyn wycofa się z honorem z całej tej sprawy, nie pozwalając, aby stała się precedensem dla innych aktorów. Wymaga tego wysoka godność sceny polskiej.

Moda! Moda!

Mówią że:
w nadchodzącym sezonie przyjęć i zabaw prawdziwie elegancka pani musi mieć nieskazitelnie gładką alabastrową cerę.

Twierdzą że:
wytworne kosmetyki Deva są nieodzownymi środkami dla osiągnięcia najpiękniejszej karnacji i najefektowniejszego wyglądu.



Emocjonująca scena z filmu „Un Carnet de bal"

Fot. „Greenfilm"

FILM
KTÓRY POBIJE
DOTYCHCZASOWE
REKORDY POWODZENIA

KRÓLOWA
przedmieścia

Na tle słynnego wodewilu K. Krumłowskiego

PRZYJMUJEMY
TERMINY WEDŁUG
KOLEJNOŚCI ZGŁOSZEŃ

„EKSPLOFILM" W-WA, CHMIELNA 43 TEL. 505-63

Ekspl. na Małopol. i Górny Śląsk KLARA MECHEL LWÓW, SYKTUSKA 43-d

„Kościuszko pod Racławicami"

Hej!... rozdzwonił się radośnie STARY ŻYGMUNT z wieży...
Niewstrzymany, rozhukany dźwięk po Polsce bieży.
A w Krakowie tłumy ludu przed Panną Maryją,
Trąby grają, serca tają, werble w bębny biją.

A pośrodku, z licem bladem, jak żołnierz pośledni...
To Kościuszko — Wódz Naczelny... wkoło ludzie biedni.
Stanął, rękę wzniósł do nieba i zaprzysiągł Bogu,
Ze nam wszystkie krzywdy nasze odbije na wrogu.

Tadeusz Kościuszko (Tadeusz Białoszczyński) składa przysięgę na rynku krakowskim. Scena z filmu „Kościuszko pod Racławicami"
Fot. „Libkow-Film"

Nowinki FOXA

Loretta Young w najnowszym swoim obrazie p. t. „Żona, doktór i pielęgniarka" nosi nienotowaną dotąd w jednym filmie ilość wspaniałych i wytwornych toalet, które wywołały całkowity przewrót mody kobiecej w Hollywood. Loretta ukazuje się w 68 kreacjach, począwszy od... rannego peniuaru, aż do nocnej pyjamy.

Królowa lodu, Sonja Henie, która święci obecnie tryumfy jako gwiazda filmowa, zorganizowała w Hollywood trupę zawodowych łyżwiarzy złożoną ze 100 osób. Ten „cyrk" Sonji ma produkować się w całej Ameryce. Widzieliśmy go już w pierwszym filmie Sonji Henie p. t. „Jedna na milion", wkrótce zaś pokaże się znów w filmie p. t. „Cienki lód".

PARAMOUNT Paramount Pictures FILMS

ZAPOWIADA NAJAKTUALNIEJSZY
FILM BIEŻĄCEGO SEZONU

OSTATNI
POCIĄG
Z OBLĘŻONEGO MIASTA

Dorothy LAMOUR • Gilbert ROLAND
Lew AYRES • Robert CUMMINGS
Helen MACK • Olympe BRADNA
Anthony QUINN

SENSACJA WSZYSTKICH KINOTEATRÓW NA CAŁYM ŚWIECIE
WSPANIAŁA OBSADA SAMYCH GWIAZD

BRIDŻ DLA NIEWTAJEMNICZONYCH

Tyle się już pisało o bridżu dla bridżystów, że postanowiłem uprzystępnić tę piękną grę tym kilku biednym ludziom, którzy jeszcze jej nie znają i nie mają gdzie się jej nauczyć. Istniał dawniej zwyczaj, że gracze już zaawansowani wychowywali sobie partnerów, jak starsi panowie swoje młode żony — błogi ten okres już, niestety, bezpowrotnie minął i jeśli czasem widzimy samotne osoby, błąkające się po ciemnych salach kinowych, jak dusze bohaterów na pobojowiskach, to są to niewątpliwie ci, którzy szukają towarzysza niedoli, w ciemności mając jedynie odwagę wyznać, że nie znają gry, dla której świat oszalał.

Przyczyną światowej tej psychozy jest panujący od kilku lat prąd świadomego wyżycia się. Dawniej ludzie zajmowali się polityką, rewolucjami własnymi i cudzymi, ale teraz, kiedy już się wszystko na świecie niby ustabilizowało, nie ma gdzie wyładować nagromadzonej w nas miłości bliźniego — gramy więc w bridża.

Otóż — co to jest bridż? Jest to gra wymagająca dwu talji kart i czterech partnerów, z których dwaj muszą znać zasady omawianej gry. Ci dwaj grają stale przeciwko sobie, przy czym wszelkie niepowodzenia są oczywiście winą ich partnerów, tych nie znających zasad gry. Ci ostatni winni pokornie znosić karcenie świetnych towarzyszy; słowa przy tym użyte powinny być jaknajbardziej dobitne, aby dokładnie przekonały słabszych, że są kretynami, niepotrzebnie chodzącymi po świecie, co im niewątpliwie bardzo rozjaśni umysł i nauczy, jak się mają odnosić w przyszłości — kiedy już sami będą świetnymi graczami — do swoich słabszych partnerów.

Jak już wspomniałem do gry wymagane są dwie talje kart, przy tym, podczas gdy jeden partner rozdaje karty — drugi tasuje pozostałą drugą talję; w ten sposób obaj partnerzy mają albo obie ręce wolne, albo obie zajęte — co uniemożliwia jednostronną zbyt ostrą reakcję. Gracze otrzymują po 13 kart. Jest to, jak wiadomo, cyfra wielce pechowa — to też rozpoczynający powinien dla odwrócenia ciążącego nad nim fatum, czym prędzej wyrzucić jakąkolwiek z nich na chybił trafił. Przed wyrzuceniem tragicznej karty odbywa się tak zwana licytacja. Różni się ona tym od licytacji w ogólnym pojęciu tego słowa, że odbywa się bez młotka i każdy jest taksatorem swego stanu posiadania. Jest to w życiu szalona okazja i ludzie cierpiący normalnie na kompleks Adlera mają tu jedyną możliwość zabluffowania swojej osoby; każdy też stara się pokazać więcej niż ma. Po szybkim pozbyciu się feralnej trzynastki należy grać powoli, co uczy cierpliwości i bardzo godnie wygląda. Bridż to nie szachy, gdzie zegar przyspiesza grających, dlatego też tak mało ludzi gra w szachy, a tak wielu w bridża.

Jak już zaznaczyłem, feljeton ten jest przeznaczony wyłącznie dla niewtajemniczonych, to też na temat samej rozgrywki ograniczę się do kilku tylko uwag. A więc: nie należy wychodzić z pod króla; dlaczego — tego nikt nie wie, fakt, że nie wolno. Jednak od czasu do czasu należy postąpić wbrew temu zakazowi, albowiem gra doskonała jest nudna, jak zresztą wszelka doskonałość, i partner nie mający co jakiś czas okazji wypowiedzenia kilku uwag o popularnych metodach leczenia chorych umysłowo, może z nadmiaru niewyładowanej a nagromadzonej w nim miłości bliźniego — wybuchnąć z hukiem dużo większym przy innej znacznie mniejszej okazji. Jeżeli się ma króla z damą — należy wyrzucić króla, co nawet jest zgodne z naszą demokratyczną dobą, nie uznającą absolutnej władzy — nigdy natomiast nie należy wychodzić z „gołej" damy, która nawet wtedy, a może właśnie dlatego, ma szanse zdobycia sobie waleta.

As stanowi najwyższy honor i bridż jest jedyną z pośród wszystkich gier życiowych, w których honor jeszcze coś znaczy. To też w czasie licytacji gracze honorowi skrzętnie ukrywają posiadanie asów, natomiast gracze nie posiadający najwyższych honorów — tym głośniej krzyczą o innych, bezwartościowych nieraz atutach. Jak w życiu...

Co do terminów bridżowych — kilka z nich wymaga wyjaśnienia. Impas — jest to sytuacja, w której należy przeciwnika „wykołować", przy czym — jeśli się to udaje — nie wywiera na nikim żadnego wrażenia, jako zjawisko normalne w czasach kiedy wszyscy się nawzajem „kołują". Jeśli się natomiast nie udaje — budzi ogólny pogardliwy śmiech. Gracz, który wogóle nie chce „wykołować" przeciwnika może się łatwo narazić na określenie takie, jak „noga" — które jest w bridżu synonimem zupełnej beznadziejności. Człowiek, tak nazwany, powinien bezwzględnie przerzucić się albo na piłkę nożną, albo na wyżej już wspomniane szachy, w której to nudnej grze wszelkie wymysły są zakazane. To też tłumaczy fakt, że szachiści grają z sobą często systemem korespondencyjnym, po cóż bowiem mają się oglądać, jeśli nie mogą sobie prawić różnych „komplementów".

Szlem duży jest wynikiem sytuacji w której przeciwnik z nieznanych bliżej powodów oddał wszystkie lewy; szlem mały — kiedy uparł się jedną lewę zatrzymać. Lewa — jest to to — o co się gra. Jeżeli podejmujemy się zrobić X lew, a zrobimy więcej, toczymy wtedy dookoła zwycięzkiem spojrzeniem; dobrze grający przeciwnik masakruje wówczas potokiem słów swego nędznego partnera — przez głupotę którego zrobiliśmy grę. Jeżeli zrobimy mniej, aniżeli obiecaliśmy, ta sama masakra czeka nas, przy tym, jeżeli zrobiliśmy mniej o jedną lewę, a przypadkiem gramy w parze z kobietą — powstaje gra słów: leżymy bez jednej z jedną, co jednak nas wobec partnerki do niczego nie obowiązuje.

dalszy ciąg nastąpi

OPUS
Kołnierzyk wytwornego Pana

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze.

Pozwalam sobie za pośrednictwem Pańskiego poczytnego pisma zakomunikować Panu Gustawowi Kryńskiemu o wielkim żalu, jaki poczułem w stosunku do Jego osoby, kiedy dowiedziałem się o ukazaniu się na łamach „X Muzy" otwartego listu w mojej sprawie. Żal ten jednak natychmiast przeistoczył się w wielką dla Niego wdzięczność.

Czuję za swój obowiązek stwierdzić, że zarząd Polskiego Związku Producentów Filmowych kilkakrotnie udzielał mi pomocy w postaci przewidzianych statutem pożyczek, z których zaciągniętą przed dwoma laty — wkrótce po otrzymaniu pracy zwróciłem, natomiast sumy uzyskane w początku roku bieżącego, niestety, nadal na mnie ciążą.

Jednocześnie zwracam się do Pana Redaktora z prośbą o nieprzyjmowanie składek, jak również o zwrot składek, które już do Redakcji wpłynęły, gdyż nie uznaję za możliwe przyjęcie pieniędzy.

Mam hart i nie tracę jeszcze nadziei, że i dla mnie z moim skromnym wykształceniem artystycznym i ogólnym, niewielkim doświadczeniem i szczyptą zdolności, znajdzie się może praca w przemyśle filmowym, który co raz bardziej rozwija się, i do którego i ja również, jeżeli się nie mylę, przelałem swojej pół kropli krwi, i wiele centnarów szczerych chęci.

Michał Machwic

Od Redakcji.

Osoby, które wpłaciły składki w związku z listem otwartym p. Gustawa Kryńskiego, proszone są — wobec decyzji p. Michała Machwica — o odebranie w Redakcji „X Muzy" nadesłanych pieniędzy.

za zł. 24[10] MIESIĘCZNIE
SUPERHETERODYNA WYSOKIEJ KLASY
PHILIPS Super 438
SALON DEMONSTRACYJNY „RADIO i ŚWIATŁO"
DŁUGA 50 (Nalewki 2) Tel. 11-55-13

JEDEN Z NAJSTARSZYCH TEATRÓW EUROPY

Moskwa w listopadzie.

Państwowy Teatr Mały w Moskwie należy do najstarszych teatrów rosyjskich, istnieje bowiem bez przerwy już 113 lat. Historia tego teatru obejmuje też całą epokę życia rosyjskiego. Twórca jego i najwybitniejszy w swoim czasie aktor zespołu, M. Szczepkin, był jeszcze aktorem pańszczyźnianym, obecnie prawnuki Szczepkina są czołowymi aktorami tego samego teatru.

To też teatr Mały odzwierciadla w pewnym stopniu historię teatru rosyjskiego: od aktora-niewolnika do artysty ludowego.

Teatr Mały był zawsze twierdzą realizmu scenicznego...". Stworzył prawdę na scenie rosyjskiej... Gra jego pozbawiona była najlżejszego frazesu, afektacji i szarżowania" — słowa te o Szczepkinie twórcy rosyjskiego realizmu scenicznego wypowiedział Herzen. Sąd ten dotyczy zresztą wogóle Teatru Małego na przestrzeni całej jego działalności.

Realizm Teatru Małego wykuty w ogniu przeszło stuletniego doświadczenia, zawsze posiadał wielkie znaczenie społeczne. Trwająca bez przerwy do 1885 r. współpraca z wielkim dramaturgiem Ostrowskim, zajmującym wybitne miejsce w historii rozwoju sztuki teatralnej i awangardowego ruchu społecznego, przekształciła Teatr Mały w prawdziwy „Dom Ostrowskiego". Ma on tu też swój pomnik, wzniesiony w gmachu teatru.

Już wielki krytyk Bieliński podnosił zasługi Teatru Małego, który tchnął życie w twórczość dramatyczną Gribojedowa, Gogola i wielu innych.

Szereg zaś wzniosłych postaci stworzonych przez Jermołową, Moczałową, Jużyna i Gorowa w tragediach Szekspira, Szyllera czy Hugo, stanowi wybitną kartę w historii międzynarodowej teatru.

R. B.

WYTWORNA PANI
ELEGANCKI PAN
NOSZĄ OBUWIE
TYLKO z SALONU
JÓZEF WOJA
WARSZAWA
ŻÓRAWIA 30 m. 9

Migawki sportowe — SZLAKIEM św. HUBERTA

...Zanim jeszcze zawodnicy odeszli od stolika sędziowskiego, ustawionego na drugim końcu placu — w miejscu gdzie stało w karnym szeregu 30 maszyn, rozległ się głośny świst. To z odkręconych wentylów 30 opon wypuszczono powietrze. Pierwsza próba techniczna miała polegać na tym, by każdy zawodnik własnoręcznie napompował jedno koło— i dopiero po tym „wyczynie" ruszył ze startu.

Jeżeli chodzi o nas spisujemy się dzielnie — a raczej popisuje się wysoką rutyną jedyna przedstawicielka płci pięknej, biorąca udział w raidzie, p. Kisłowska. Nie trzeba dodawać, jak ujmującą całość tworzy wytworna właścicielka ze swą elegancką maszyną. Mnie zaś, skromnemu sprawozdawcy prasowemu, przypadła w udziale funkcja „pomocy technicznej" w wozie wytrawnej kierowczyni

Ruszamy ze startu. Jako trzeci z kolei. Przy bramie otrzymujemy bardzo niedokładnie określoną pierwszą turę, biegu. Orientujemy się mniej więcej, gdzie trzeba jechać — i już wychodzimy z labiryntu ulic Brześcia na kiepsko w tej części utrzymaną szosę warszawską. Po deszczu drogi są fatalne — z trudnością rozwijamy 80 km/godz.

Po kilkunastu minutach mijamy dwa motocykle współzawodników. To dodaje nieco otuchy, choć „kierowca" jest wybitnie zdenerwowany. Kilkanaście minut zawadiackiej jazdy (ślizgawica!). Średnio 90 km na godz.

Wreszcie drogowskaz, który każe skręcić w boczną drogę. Ta polna droga to uosobienie wszystkich „polskich dróg" i to gdzieś z okresu średniowiecza. Wyboje doły półmetrowe, błoto — sadzawki Maszyna z lśniąco-czarnej robi się matowo-szara. Ale to jeszcze nie wszystko: po 4 km okazuje się, że jedziemy drogą... błędną. Z rzadkiemi zmianami próbujemy dokonać trudnego (w takich warunkach!) manewru-zwrotu. W duchu rezygnujemy tu już z pierwszego miejsca. Kierowca zaczyna wdzięcznie klać. Ja pomagam. W tym momencie spostrzegamy kilka maszyn, które naszymi śladami zapuściły się w tę błotnistą dżunglę drogową i teraz za naszym przykładem zawracają jak „niepyszne". Znów kilkunastominutowa gehenna powrotu na szosę.



Grupa motocykli-solówek. — Drugi od prawej W. Sadowy, — zwycięzca raidu w tej kategorii.

Moja głowa wystukuje „stępa" na „sufit" limuzyny.

Na, nareszcie mamy właściwą drogę (które miejsce?). A gdy już oddychamy z ulgą — karburator zaczyna wydawać jakieś podejrzane odgłosy: kicha, kaszle, sapie i wreszcie (o zgrozo!)... maszyna staje. Ugrzęźliśmy pośrodku kałuży o wymiarach 10x5x0, 5 m. Gramolimy się z wygodnych siedzeń i bierzemy do naprawiania. Obok nas jeden z zawodników szuka w błocie zgubionego łańcucha od swego motocykla...

Tymczasem mijają nas wszyscy spóźnieni zawodnicy, z pogardą bryzgając tłustym błotem. Sympatyczny skądinąd mąż mojej kierowczyni zdradza nas w haniebny sposób, wzdragając się przed udzieleniem „pierwszej pomocy". Zostajemy sami, zdani na łaskę i niełaskę własnych, mocno wątłych sił. Ale wiadomo: gdzie diabeł nie może... i po godzinie jako pierwsi od... końca, kontynuujemy raid.

„Naprawa" okazuje się jednak problematyczna — bo wóz jedzie pogrzebowo: 40 na godz. Temperament i ambicja zawodniczki w naszym raidzie nie pozwalają jej na przybycie do mety w takim „stanie". Zrezygnowana chce jechać do... domu.

W tej sytuacji „pomoc techniczna" z mojej strona okazała się skuteczną „pomocą moralną", która sprawiła, że zajęliśmy w ogólnej klasyfikacji miejsce 7-e; w kategorii zaś wozów osobowych ni mniej ni więcej tylko... 1 (pierwsze). A to po prostu dlatego, że reszta zawodników w naszej konkurencji ugrzęzła w drodze wskutek fatalnych warunków terenowych i prócz nas żaden wóz osobowy biegu nie ukończył.

Zbigniew Pitera

białe zęby
KLOROMINT
PASTA DO ZĘBÓW

ESPLANADA

Jest cafe w naszym mieście,
Gdzie jak rodzynki w cieście
Filmowcy nasi siedzą,
Plotkują, piją, jedzą
Jesienią, latem, w zimie
W papierosowym dymie
I w czarnej toną kawie —
Jest taki klub w Warszawie...

✱

Kto kanap tam nie gniecie
W filmowym naszym świecie
Najmniejszej nie gra roli,
Zajęty każdy stolik
A siedzą tam angury
Filmowej koniunktury,
Agenci, producenci,
Kto tylko w branży kręci...

✱

Nowinek masz dowoli,
Tu każdy się mozoli,
Uważa to za gratkę,
By komuś przypiąć łatkę,
Tu robią się kontrakty,
Umowa, pakty, akty,
Wywiady czy. z ostrożna,
Pożyczyć forsy można...

✱

Już gwarny dzień skończony,
Pogasły już neony
I robi się luźniej
W filmowych nowin kuźni
I tylko już na froncie
Dwóch jeszcze w ciemnym kącie
Branżystów czy plotkarzy
Nowinkę jeszcze smaży...

Jerzy Gur.

NIE LEKCEWAŻYĆ KAPELUSZA

Często widzi się na ulicy elegancko ubraną panią, której efektowną całość psuje źle dobrany kapelusz. Jest to bodaj najważniejszy dodatek w stroju kobiecym, często jednak — niestety — przez panie lekceważony. Ale na szczęście — nie przez wszystkie... Dobrze ubrana pani wie, że kupić kapelusz jest łatwo, ale kupić taki aby stanowił odpowiednie wykończenie całości — trudno. Tymbardziej, że moda jest niezwykle kapryśna i często się zmienia.

Mężczyźni nie rozumieją tego, że pani do każdego prawie kompletu musi mieć inny kapelusz i pytają często z ironją: „który to już z kolei...?".

A jednak niemożliwym jest nosić, powiedzmy przez pół roku, ten sam, kapelusz. Nowy przecież odświeża i zmienia wygląd całej sylwetki kobiecej.

W tym roku moda jest ekscentryczna i dość różnorodna. Obok, stale noszonych kapelusików angielskich, widzimy na pokazach mód, przeróżne fantastyczne kreacje: przeważnie kapelusze są bardzo wysokie, ozdobione sterczącymi piórami. Wysokie panie mają z tym pewną niewygodę, gdyż kapelusik taki przysparza jeszcze im wzrostu—no, ale taka moda — trudno!



Tak chce moda!
Kapelusz w kształcie dzwonu.

ki, ale raczej tylko do zimowych kostiumów z płaskimi kołnierzykami przy szyi.

Jak już pisałam poprzednio — najbardziej lansowane ozdoby do zimowych

Obecnie nosimy kapelusze z czoła, zupełnie zsunięte i w kształcie stożków — bardzo rzadko z rondem, gdyż stwarza to niewygodę przy futrze i kołnierzach u zimowych palt.

Bardzo modne są duże, kloszowe woalkapeluszy — to futra takie same w jakie pani jest ubrana.

Wieczorowe kapelusze są przeważnie z welouru — i tu najbardziej pani może dać upust swej fantazji! Im bardziej kapelusz będzie ekscentryczny, tym modniejszy. Przy tym konieczna jest duża, kloszowa woalka, która otacza główkę pani aureolą i kryje twarz w tajemniczym półcieniu.

Tak jak przy wszystkich rzeczach, które pani kupuje, a może jeszcze więcej, musi pani pamiętać, że w tym co ma na głowie, powinna wyglądać ładnie.

Każda kobieta stara się aby strojem podkreślić swoją indywidualność. Kapelusz spełnia tu rolę niezmiernie ważną — podkreśla indywidualność twarzy a o to chyba każda pani dba najwięcej.

D. A.

KRYSZTAŁY
SZKŁO, PORCELANA, WYROBY METALOWE I NACZYNIA KUCHENNE
poleca po cenach najniższych
A. PERLIN
WARSZAWA BIELAŃSKA 5
TEL. 505-95

Przy BÓLACH GŁOWY NERWOBÓLACH i GRYPIE
stosuje się PROSZKI
KOWALSKINA

Perfumy
OPÉRA
PINAUD PARIS
Dla wytwornej Pani

Z braku miejsca — dalszy odcinek powieści p. t.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

ukaże się w następnym numerze w podwójnej objętości.



Elżbieta Barszczewska, Jan Pichelski i Witold Zacharewicz w kapitalnej scenie romantycznej filmu „Kościuszko pod Racławicami".
Fot. „Libkow-Film".

CI CO ODESZLI...

ś. p. Zbigniew Uniłowski

Nieoczekiwany zgon młodego, a już b. popularnego pisarza, jednego z najbardziej poczytnych prozaików, wywołał duże wrażenie w całym kulturalnym społeczeństwie.

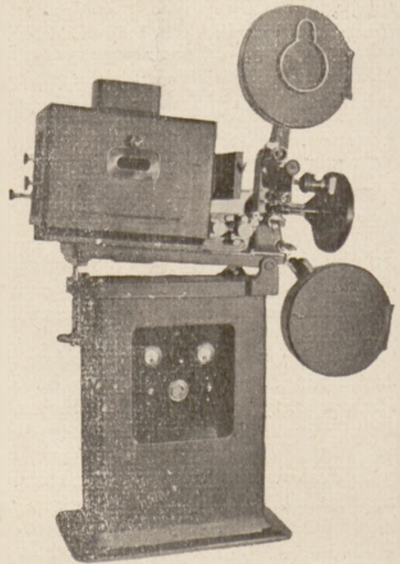
Nie ukazał się jeszcze tom drugi ostatniej pracy Uniłowskiego „20 lat życia"; nie wiemy w tej chwili czy ukaże się wogóle, nie wiemy bowiem, czy autor „Wspólnego pokoju" dokończył rozpoczętego dzieła, którego pierwszy tom świadczył o ciągłym krystalizowaniu się i dojrzewaniu tego nieco może brutalnego, ale samorodnego i głębokiego talentu.

W krótkiej notatce dziennikarskiej trudno jest zawrzeć charakterystykę tego nieposolitego zjawiska, jakim był Uniłowski, jako indywidualność.

Większy szkic monograficzny, poświęcony życiu zmarłego literata i jego twórczości podamy w jednym z najbliższych numerów.



APARATURY KINO-DŹWIĘKOWE
BELLWATT
J. KAWAŁKOWSKI i W. KOZIŃSKI
WARSZAWA, ZIELNA 13 • KONTO P.K.O. 3907 • TEL. 653-34



Kompletne instalacje kino-dźwiękowe
Aparatury megafonowe i rozgłośnikowe
Zespoły projekcyjno-dźwiękowe z aparaturą dźwiękową, wbudowaną w podstawę aparatu
Wzmacniacze na prąd stały i zmienny
Głośniki elektrodynamiczne
Prostowniki do lamp łukowych i innych celów
Remonty i przeróbki starych aparatur
Komórki fotoelektryczne

Szczegółowe informacje i oferty na żądanie

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—19
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810-81.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., pierwsza i ostatnia str. 50 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. dwukolor. 50% drożej
Prenumerata: rocznie zł. 7.20, ½ rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe. Warszawa I. Nr 226.
Redaktor naczelny WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI — Wydawcy JÓZEF KISIELHOF i ZENON BERMAN — Kierownik wydawnictwa: EMMI GOLDFLUS
Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.